

I/1176

Wanda Suwalska
00687 Warszawa, Wspólna 57-15
tel. 21-95-73

621

© ARCHIWUM WSCHODNIE

W 1944 roku znalazłam się - na polecenie ówczesnych władz wileńskiej Armii Krajowej - w Ejszyszkach w Feldkomendanturze, jako tłumaczka z języka rosyjskiego i niemieckiego. Rola moja polegała na przekazywaniu zasłyszanych w tejże Komendanturze wiadomości dotyczących akcji w stosunku do rozłożonych w okolicach oddziałów partyzanckich. Kontakt z "naszymi" utrzymywałam przez przyjaciół moich, którzy mieli majątek ziemski w Koleśnikach, w pobliżu miejscowości Orany.

W momencie ponownego wkroczenia Sowieców do Wilna w 1944 r. i ich marszu w kierunku Grodna, a tym samym Ejszyszek - oraz ucieczce Niemców w popłochu - udało mi się wykraść z Komendy trochę broni, amunicji i radioodbiornik, który zresztą - odkryty przez Niemca na załadowanej wiejskiej furze /załadowanej przeze mnie i mego brata/ - omal nie spowodował naszego rozstrzelania - tylko cudem uniknęliśmy śmierci.

Z Ejszyszek przez Koleśniki i Rakuciniszki dotarliśmy do naszych oddziałów, atakowani po drodze zarówno przez Niemców jak i bolszewików. Trudno było stwierdzić kto, z której strony i w jakiej sile atakuje. Traktowano nas nie jak oddział, lecz jak uciekinierów - mieliśmy bowiem kilka wozów i piesze towarzystwo.

Chyba w końcu czerwca 1944 r. znalazłam się we wsi Paszkiwicz, w okolicach Radunia.

Wokół znajdowały się nasze oddziały. W naszym miejscu postoju było gospodarstwo pp. Andzulewiczów - rodziców i dwóch synów w wieku około 20 lat. Byli to ludzie, którzy upamiętnili się w mej pamięci jako wspaniali.

Nasza grupka miała ścisły kontakt z placówką pod Surkontami. Powielacz, motocykl, broń, maszyna do pisania itp. ukryte były w stodole, załadowanej pod sufit sianem. Stodoła zbudowana była z belek z prześwitami, przez które wpadało światło i powietrze. Przez te szczeliny obserwowaliśmy też okolicę w czasie pracy w tunelu. Tunel był wydrążony w sianie pionowo do ściany głównej stodoły. Drugi odcinek tunelu, załamany pod kątem prostym, prowadził wzdłuż ściany głównej stodoły. Wchodziło się do tunelu przez otwór, na czworakach, a następnie otwór zabezpieczało się kostką z ubitego siana, wciągniętą na lince, lub z zewnątrz.

Panowie z naszej grupki chodzili w chłopskich ubraniach, często bosy, my, dziewczęta, upodobniałyśmy się w miarę możliwości

do wiejskich dziewcząt lub udawałyśmy "bieżenki" /uciekiniierki/ z Wilna. W pobliżu rezydował oddział mjr-a, albo kapitana "Habdanka". Kontakt z nimi był raczej nie częsty. Najściślej współpracowałam z panem Zbigniewem lub Czesławem /jedno imię było pseudonimem - chyba Czesław, którego rodzina była w Wilnie/.

Prawie każdego dnia biegałam /około 6-8 km/ pod Śurkonty po polecenia, materiały do przepisania i odbicia na powielaczu itp.

Nie pamiętam, czy - nazywany sztabem - zespół majora "Kotwicza" była to "Ostra Brama". Mjr "Kotwicz" - p. Kalenkiewicz - /nazwisko Jego poznałam po wojnie/ był w każdym razie naszym szefem - arcymiłym i opiekuńczym. Tej właśnie opiekuńczości zawdzięczam to, że żyję...

19 albo 20 sierpnia 1944 r. przyszedłam do sztabu boso, bez sandałków, które po prostu rozpadły mi się w drodze poprzedniego dnia. Pan major kategorycznie zabronił mi przychodzenia, aż sandałki będą zreperowane - miałam to potraktować jako rozkaz. Zastosowałam się do tego chociaż z wielkimi oporami - i...

21 sierpnia wieczorem zapadał pierwszy zmrok. Doczłogał się do nas ranny jedyny uczestnik, który wyszedł z walki, rozegranej między Sowietami i naszą 26-28-osobową grupą. Najbardziej pamiętam śp.mjra "Kotwicza", chyba por. "Orlicza"¹ i trzy łączniczki.

Z relacji tego Rannego, o którego dalszych losach nic nie wiem, jak też z relacji okolicznych chłopów, którzy byli świadkami wydarzeń, wynikało, że z Radunia przyjechali ciężarówką żołnierze radzieccy i rozpoczęła się walka /wg przypuszczeń była to, niestety, zdrada/.

Sowieci byli na górze, nasi niżej spadzistego terenu. Dzielili ich bagnisty odcinek.

W pierwszej potyczce nasi byli górą. Sowieci wrócili po pomoc.

Powstał problem pozostawienia rannych i ucieczki. Transportem mogły być tylko konne podwoły - chłopci też bali się dawać swoje fury i konie.

Nasi zdecydowali zostać z rannymi i walczyć. Rannych ^{Sowieci} dobijali. Zginęli wszyscy.

Następnego dnia pan Czesław, jeszcze jakieś dwie osoby i ja pojechaliśmy pochować zmarłych.

¹ "Orwit" - adiut "Kotwicza", wq, Joanna Januszczyk

Nie da się wymazać z pamięci tragicznego, okrutnego widoku porozrzucanych ciał, poprzebijanych nadto bagnietami, twarzy podeptanych butami i kaleczonych kolbami karabinów. Trzy dziewczyny leżały w poszarpanych sukienkach. Wszyscy byli jak gdyby już wchłaniani przez bagno. Jestem prawie pewna, że większość chłopców była w mundurach.

Zaczęliśmy tragiczną akcję wydobywania ciał i kopania grobów. Przy kopaniu pomagali miejscowi ludzie, ale... w pewnym momencie ktoś krzyknął: "sowieci!" i nagle zostaliśmy tylko we czworo. Był to fałszywy alarm - myślę, że ze względu na upał nie przeszkodzono nam w oddaniu ostatniej usługi.

Wydobywanie ciał było oddzielnym koszmarem. Stojąc w rozkroku nad ciałem wygrzebywaliśmy z błota głowę. Zanim odwrócił się człowiek w kierunku nóg - głowę wchłaniało bagno. W niektórych wypadkach trzeba było przy jednym zmarłym pracować we dwoje.

Znalazłam mjra "Kotwicza" - leżał twarzą do ziemi, nie pograżony w błocie - zdawało się, że jest tylko ranny. Odwróciłam Go i krzyknęłam: "żyje!". Z ust Jego wydobyło się ^{bowiem} westchnienie... nie wiedziałam jeszcze wtedy, że był to ostatni oddech, zduszony ziemią - On już nie żył.

Pochowaliśmy Ich wszystkich w dwóch grobach, wysłanych gałęziami.

Po wojnie, chyba w 1950 r., spotkałam na przystanku w Warszawie p. Zbigniewa - nie przyznał się do naszej znajomości - może pomyliłam się? W kilka lat później, w Jastarni, poznałam Panią - Wilniankę, która podczas spaceru opowiedziała mi o tym, że jej narzeczony "Orlicz" zginął w nieznanych jej okolicznościach. Wiedziała tylko, że On i mjr "Kotwicz" byli ekshumowani przez Matkę i Żonę.

Nigdy tej wiadomości nie sprawdziłam ponieważ kontakt z tą Panią nie utrzymał się. Ja też nie szukałam kontaktów. Nieufność zakorzeniła się głęboko, a młodzieńcza brawura i lekkomyślność przycichły. Niestety, ludzie bali się - ja też miałam za sobą Łukiszki w Wilnie. Nie "ujawniłam się" - mieszkałam wtedy w Kwidzynie - byłam świadkiem szykan w stosunku do tych, którzy to zrobili.

Po pogrzebie w Surkontach musiałam pójść z Paszkiewicz do

Wilna. Wędrowało się piechotą przez puszcę. Znowu na kategorycznie postawioną sprawę, tym razem przez p. Zbigniewa, musiałam wyjść ^{z Paszkiewicz} po południu. Odcinek kilkukilometrowy szło się przez grzęzawisko, był to męczący odcinek drogi - szło się w wielkim napięciu. Konsekwencją tego była konieczność przenocowania po drodze u zaprzyjaźnionych gospodarzy. Nie lubiłam tego; wołałam pokonywać całą drogę bez nocowania - ale wyszłam.

Wracając po kilku dniach, miałam załatwić po drodze sprawę radioodbiornika w jednym z gospodarstw. Zatrzymałam się na krótko, było to już kilkanaście km od Paszkiewicz i tam dowiedziałam się, że następnego dnia po moim wyjściu, o świtaniu, przyjechali do Paszkiewicz z Radunia Sowieci z pytaniem - "Czy macie broń?" - oczywiście odpowiedź padła "nie". Zażądali siekier i, jak po sznurku, obeszlą stodołę - wyrąbali ścianę...

Aresztowani zostali i zabrani do Lidy ojciec i dwaj synowie Andzulewicze, p. Zbigniew i jakaś młoda dziewczyna ze wsi.

"Panienko, toż oni na panienkę czekali dwa dni" - powiedziały mi spotkane kobiety. Poszłam opłótkami do Paszkiewicz. Kotła już nie było.

Z p. Andzulewiczową i kilkoma kobietami poszłyśmy do Lidy, do więzienia, aby zanieść jakieś ubranie i jedzenie aresztowanym. Przeżyłam tam, złe chwile - w pewnym momencie podszedł do mnie strażnik i spytał: "Ty Wandoczka?". Wiedziona, nie wiem jakim instynktem, zaprzeczyłam - "Nie, ja Zina" odpowiedziałam. "To poczekaj, sprawdzę". Kryjąc się, zasłaniana przez tłum kobiet, wybiegłam na drogę i zapadłam w pierwszym kartoflisku. Leżałam, aż zobaczyłam wracające kobiety, które powiedziały mi, że w oknie siedziała ta młoda ^{aresztowana} dziewczyna i wskazywała na tłum. Tak aresztowano ~~jeszcze~~ kilka osób. O aresztowanych nigdy już nie dowiedziałam się nic.

Dość szybko wróciłam do Wilna. Niestety, mieszkanie moje było już "spalone". Czekala mnie bezdomność, tułaczka po znajomych, a potem więzienie na Łukiszkach.

Jest to relacja oparta tylko i wyłącznie na pamięci, nie robiłam bowiem nigdy żadnych notatek. Niektóre przeżycia jednak - niezależnie od upływu czasu - nie dadzą się wymazać z pamięci i pozostają wciąż żywe.

Młoc 5